

**Radka Denemarková *Pieniądze od Hitlera* (fragment):**

### **Lodowa skorupa**

Po powrocie *stamtąd* żyję jak pod grubą warstwą lodu, po którym inni jeżdżą z zapalem na łyżwach, z rozpalonymi radością policzkami. Głęboko pod lodem. Niewidzialna. Osamotniona. Ledwie wyczuwalna. Bezsilna. Skazana na to, by czekać, aż ktoś wykona ostatni gest, postawi kropkę na końcu źle skleconego zdania, nadeptnie na wążutkie wystające naczynie wypełnione solą. Zamarnięte w lodowej skorupie.

Wracam do domu. W błędnym przekonaniu, że to wciąż jest mój dom. Pałacy gorąc. Unikam nawet bocznych dróg. Kierowana nieuzasadnionym instynktem samozachowawczym. Teraz już mogę iść środkiem. Drałować w skwarze roztopionych jezdni jak inni. Już nie muszę się bać. Wojna się skończyła.

A jednak ciągle się boję.

Wyczuwam wyprostowany palec kościółka, domyślam się czerwieni ścięzionych dachów, kątem oka widzę bryłę pałacyku, długą jak nitka makaronu, i zabudowania naszego majątku. Wlokę się rowami, pozwalam, by nogi wysmagały mi kłujące pokrzywy, te zielone szczypcy, idzie rak – nieborak, jak uszczypnie, będzie znak; tak śpiewaliśmy, spacerując dziecięcymi paluszkami po smukłych skrzydłach mamy. Niebieskie żyły, które wychodziły jej na przegubach... nie umiała ich ukryć, nikt jeszcze nie wymyślił żadnego tuszującego kosmetyku na pulsujący rurociąg ciała. Wieczorem jej ręce błyszcząły od pachnącego tłuszczu. Odpoczywały w nocy nasmarowane specjalnym kremem.

Odpoczywały też właściwie za dnia.

Trzęsą mi się kolana.

Upadam w niską zeszlą trawę. Pod słońce w zenicie. Dopadnie mnie. Ani chybi. I na obnażoną bladość rąk i nóg chluśnie strumieniem gorących igiełek. Jestem łatwym celem. Każdy szuka takiego celu. I znajduje. Zawsze jest ktoś o szczebelek niżej. Ktoś bardziej bezbronny. Bardziej odkryty.

Przyglądam się z bliska pełnej krzątaniny ziemi. Z daleka widać spokój. Bezruch. Pod lupą nerwową panikę. Owady. Mrówki. Chrząszcze. Kozioróg dębosz. Świerszcze. Kulanki. Biedronka. Konik polny. I pająk-uciekinię. Podczas gdy mnie roztopia płynący z góry żar, one umykają przed zimnymi słonymi kroplami, których ja nie umiem zatrzymać. Zabijam robactwo słoną ulewą, cała ta drobnica topi się w moim smutku, pałaco bezsilnym smutku. Nic już nie będzie jak przedtem. Nigdy nie będę dotykać ich skóry. Skóry chroniącej żyjące ciała. Nigdy nie będziemy razem. A nawet gdybyśmy byli... Co byśmy zrobili z niedawną przeszłością, jak byśmy się od niej wyłgali, jak wygrzebalibyśmy się z tej jamy. W której ugrzęzła rodzina. Moje dzieciństwo. Wszystko, co tam ugrzęzło... Tego już nie ma, no tak, tego już nie ma.

Zostało nasze gospodarstwo. Mury, za którymi się schowam i uzbroję, za którymi się osunę na ziemię, by potem znów stanąć na nogi, mury, za którymi się wzmocnię szczęśliwymi wspomnieniami. Mury, za którymi się schowam i uzbroję, za którymi...

Ziemia pęka. Kiwam głową w tę i we w tę. Ciężkim odważnikiem przygniatam i miazdżę uciekającą mrówkę. Resztki mrówczego ciała rozwałkowuję środkiem czoła. Moje przyklejone znamię śmierci. Palcami chwytam się trawy, rwę ją kępami. Póki nie zniknie pokusa, żeby wrzeszczeć i jęczeć i rozdrapać sobie paznokciami ręce, wbić paznokcie głęboko w skórę i nie puszczać, rozłożyć ramiona i z całej siły uderzyć w wystający gwóźdź, ścisnąć w dłoni szklankę i zgnieść na szklaną miazgę. Rwę niewinną trawę. Babkę. Rumianek. Lebiódkę. Dopóki się nie zmęczone, dopóki nie padnę.

Oślepia mnie słoneczna lawa. Leżę na lewym boku. Skulona. Z kolanami pod brodą. Jak płód w łonie matki. Możliwe, że kilka minut przedrzemałam. Możliwe, że tylko zemdlałam. Słońce praży i przypieka mi prawy policzek. Lewy schłodziła ziemia nasiąknięta łzami. Wstaję. Jak nieżywa. Poprawiam bluzkę i spódnicę. Bezlitośnie strzepuję z siebie przyczepione źdźbła trawy. Sunę ręką wzdłuż spódnicy do jej brzegu i wkładam palec pod szew, tam, gdzie się rozpruł. Jak do naparstka. Ślinię go. Zaszło mi w gardle. Paznokciem owiniętym w wilgotny materiał szoruję i zdrapuję rdzawe zaschnięte resztki mrówczego ciała. Spódnicę się przekręca i podnosi się cała, tworząc wokół mnie lejek. Jestem w okopie. Od pasa w górę. Znowu ślinię palec. Przerzucam lejek. Przysiadam, żeby przetrzeć zakurzone buty ze sprzączką. Które mi w Pradze włożyła przerażona ciocia Ottla. Chciała jechać ze mną. Wyślizgnęłam się jej, byłam wściekła. Do domu wrócę sama. Jestem już przecież dorosła.

Patrzę na jaskrawą zielen trawy w rowie poprzetykaną zgniloczerwonymi plamkami czereśni, w które wbija się rój os, powstrzymuję odruch wymiotny.

Wieś wydaje się wyludniona. Nikt nie wybiega z białych domków, jak to sobie wyśniłam. Nikt mnie nie wita, nie obejmuje, nie współczuje. Nie wmusza pełnego talerza. Mam mętlik w głowie, boję się, że nikt nie przeżył. Możliwe, że ten ostrzyżony na jeża stwór nikogo nie interesuje, bo nie trzyma za rękę swojego taty. Obok tej dziewczyny nie kolebie się szanowany przez wszystkich mężczyzna w kapeluszu. Mężczyzna, który wzbudzał popłoch, kiedy z głuchym warkotem silnika przejeżdżał gościńcem na długim motocyklu. *Oryginalny model Czechie-Böhmerwald*, tłumaczył z zachwytem i dumą ciekawskim męskim spojrzeniem.